

# **Do czego się nadajemy?**

Piotr Kropotkin

1888

Jedną z najczęściej podnoszonych obiekcji wobec komunizmu jest, jakoby ludzie nie nadawali się do życia w komunistycznym systemie – jakoby nie byli na to „wystarczająco dobrzy”. Nie poddadzą się dobrowolnie komunizmowi narzuconemu siłą, ale też są zbyt niedojrzali na komunizm wolnościowy, anarchistyczny. Stulecia wychowania do indywidualizmu nadmiernie rozbudziły ich egoizm. Niewola, poddaństwo wobec silniejszych i przymuszanie do pracy batem konieczności sprawiły, że nie nadają się do życia w społeczeństwie ludzi wolnych, nie znających innego przymusu niż ten, który bierze się z dobrowolnie powziętych zobowiązań wobec innych ludzi i z potępienia czekającego tych, którzy swych zobowiązań nie wypełniają. Dlatego, mówią nam, na drodze do komunizmu potrzebny jest etap przejściowy, pośredni.

Jakże stare to słowa! Wypowiadane i powtarzane bez końca, odkąd człowiek pierwszy raz podjął próbę zreformowania swojej społeczności. Słowa, które słyszeliśmy, zanim zniesiono niewolnictwo; słowa wypowiedane przed dwudziestoma i czterdziestoma wiekami przez tych, którzy zbyt sobie cenili święty spokój, by godzić się na nagłe przełomy, którzy lękają się śmiałej idei i którzy sami nie wycierpieli dość bezprawia, by do głębi poczuć nieodzowność zmiany.

Ludzie nie nadają się do tego, by żyć w komunizmie, ale nadają się do kapitalizmu? Gdyby każdy człowiek miał dobre serce, był sprawiedliwy i życzliwy dla innych, wtedy jeden nie wyzyskiwałby drugiego, nawet mając ku temu środki. Wśród takich ludzi prywatna własność kapitału nie przysparzałaby nikomu cierpienia. Kapitalista z chęcią dzieliłby się zyskiem z robotnikami, a najlepiej opłacani robotnicy z tymi, którym akurat wiedzie się gorzej. Gdyby ludzie byli roztropni, nie wytwarzaliby jedwabów i luksusów, dopóki w wiejskich chatkach ktoś przymiera głodem; nie wznosiliby pałaców, póki w miastach są dzielnice nędzy.

Gdyby ludzie mieli głęboko rozwinięty zmysł sprawiedliwości, nie ciemnieliby innych ludzi. Politycy nie oszukiwaliby wyborców; parlament nie byłby zgrają rozwrzeszczanych obłudników, a policjanci odmówiliby wykonania rozkazu Charlesa Warrena i nie napadłoby z pałkami na pokojową demonstrację na Trafalgar Square. Gdyby ludzie byli szlachetni, mieli więcej szacunku do samych siebie, a mniej pychy, nawet okrutny kapitalista nikomu nie wyrządziłby krzywdy: robotnicy szybko ostudziliby jego dyktatorski zapach i sprowadzili go do roli zwykłego towarzysza-zarządcy. Nie byłby groźny nawet żaden król, bo lud widziałby w nim tylko współobywatela, co – jako że nie nadaje się do żadnej pożytecznej pracy, ma za powołanie podpisywać jakieś funta kłaków niewarte papiery i słać je do podobnych sobie pomyślników, jak on mieniących się królami.

Jednak ludzie nie są tak otwarci, samodzielni, roztropni, życzliwi i obdarzeni współczuciem, jakimi chcielibyśmy ich widzieć. I właśnie dlatego nie mogą dłużej żyć w obecnym systemie, który dopuszcza, by się wzajemnie ciemniżyli i wyzyskiwali. Weźmy dla przykładu owych cierpiących nędzę krawców, którzy w ubiegłą niedzielę wylegli na ulice, i przypuśćmy, że jeden z nich dostał sto funtów w spadku po wuju z Ameryki. Za te sto funtów nie założyłby przecież spółdzielni krawieckiej dla siebie i tuzina podobną biedę klepiących kolegów po fachu, by poprawić ich los. Prędzej sam przemieniłby się w wyzyskiwacza. Dlatego powiadamy, że w społeczeństwie ludzi kierujących się instynktami tak niskimi jak ów

spadkobierca, krawiec, ktoś taki jak on nie może być otoczony nieszczęśnikami potrzebującymi jego łaski. Gdy tylko nadarzy się sposobność, wyciśnie z nich siódme poty. A gdyby ci sami krawcy mieli zapewniony byt dzięki towarom z komunistycznych sklepów, żaden nie musiałby się pocić, by przysparzać bogactw byłemu towarzyszowi, zaś aspirujący wyzyskiwacz nie okazałby się tak wielkim niegodziwcem, jakim zapewne się stanie, gdy mu pozwolić wyzyskiwać innych.

Mówią nam, żeśmy nazbyt skorzy i do poddaństwa, i do wywyższania się, byśmy zasługiwali na wolnościowe instytucje. Odpowiadamy: to właśnie ludzka skłonność do poddaństwa sprawia, że nie możemy dłużej trwać pod władzą instytucji, które w nas to poddaństwo krzewią i za nie nagradzają. Widzimy odrażające poddaństwo brytyjskiego, francuskiego i amerykańskiego narodu wobec Gladstone'a, Boulanger'a czy Goulda. I powiadamy, że skoro ludzkość ma przyrodzony instynkt poddaństwa, to wyrządza się masom wielką krzywdę, pozbawiając je wyższego wykształcenia i zmuszając do życia, jak dziś, w warunkach nierównego dostępu do bogactwa, oświaty i wiedzy. Wykształcenie i wyrównywanie warunków bytowych to sposoby niwelowania tego odziedziczonego po przodkach poddaństwa. Nie rozumiemy, jak z przyrodzonych człowiekowi poddańczych instynktów można wywieść argument za przedłużaniem trwania nierówności choćby o dzień, za odmową równego dostępu do oświaty dla wszystkich członków społeczeństwa.

Spójrzmy pod tym kątem na dowolny aspekt życia społecznego, a okaże się, że kapitalistyczny, autorytarny system zupełnie nie odpowiada społeczności ludzi tak nieroztropnych, pazernych, samolubnych i tak skłonnych do poddaństwa, jakimi pod jego panowaniem są. Gdy więc słyszymy raz po raz, że anarchiści uważają ludzi za znacznie lepszych, niż są w istocie, dziwimy się jedynie, jak inteligentne osoby mogą powtarzać tak wierutne bzdury. Czyż nie przekonujemy bez ustanku, że jedynym sposobem, aby ludzie stali się mniej pazerni i mniej samolubni, mniej żądni władzy i zarazem mniej skorzy do poddaństwa, jest usunięcie warunków, które wzmagają w nich egoizm i chciwość, poddańczość i pychę? Ale w odróżnieniu od naszych oponentów nie wyolbrzymiamy niskich instynktów mas ludowych i nie przymykamy oczu na te same niskie instynkty wśród klas wyższych. Twierdzimy, że władza deprawuje zarówno władców jak i poddanych; że wyzysk psuje charaktery zarówno wyzyskiwaczom, jak i wyzyskiwanym; podczas gdy zdaniem naszych oponentów władcy, przywódcy, pracodawcy są solą ziemi i to oni, szczęśliwie dla ogółu, trzymają w ryzach gorszych od siebie – poddanych, podwładnych, wyzyskiwanych – by nie upadli jeszcze niżej.

To jedyna różnica, ale różnica wielkiej wagi. Przyznajemy, że natura ludzka jest niedoskonała – ale nie czynimy wyjątku dla klas panujących. Oni taki wyjątek czynią, choćby i nieświadomie. A skoro my go nie czynimy, nazywają nas marzycielami. Mówią, żeśmy „niepraktyczni”.

Stary to spór – między „praktycznymi” i „niepraktycznymi” ludźmi, tak zwanymi utopistami: spór, który odżywa z każdą postulowaną zmianą i zawsze kończy się porażką tych, którzy mają się za ludzi praktycznych.

Wielu do dziś pamięta ten spór, który jak nawałnica przetoczył się przez Amerykę, nim zniesiono tam niewolnictwo. Kiedy abolicjoniści żądali pełnej emancypacji czarnych, tak

zwani praktycznie myślący ludzie argumentowali, że jeśli czarnych nie zmusi się do pracy batem, przestaną pracować w ogóle i staną się ciężarem dla społeczeństwa. Można zakazać zbyt grubych batów, mówili; ich grubość można stopniowo ograniczać odpowiednimi ustawami, najpierw do pół cala, potem nawet do kilku dziesiątych jego części; ale bez takiego czy innego bata nigdy się nie obejdzie. A gdy abolicjoniści mówili – jak my dziś mówimy – że zadowolenie z owoców własnej pracy jest wielokrotnie potężniejszą zachętą do wysiłku niż nawet najgrubszy bat, co słyszeli? „To niedorzeczność, przyjacielu” – wmawiano im, jak dziś wmawia się nam. – „Nie rozumiesz ludzkiej natury! Lata niewoli uczyniły ich beźmyślnymi, leniwymi i biernymi. Natury ludzkiej nie da się zmienić z dnia na dzień. Wiemy, że intencje masz najlepsze, ale to co proponujesz, nie jest praktyczne”.

Przez długie lata ci praktyczni ludzie obmyślali, jak stopniowo, krok po kroku doprowadzić czarnych do wolności. Niestety! Wszystkie ich zamysły okazały się całkiem niepraktyczne, aż wybuchła wojna domowa – najkrwawsza, jaką znał ten kraj. Wojna przyniosła czarnym wyzwolenie – nagłe, nie stopniowane – i zobaczcie: żadna ze strasznych konsekwencji przepowiadanych przez ludzi praktycznych nie ziściła się. Czarni pracują ciężko i wytrwale. Są roztropni – aż nadto roztropni! – i można jedynie żałować, że postulaty lewego skrzydła obozu niepraktycznych – pełna równość praw i nadanie ziemi – nie doczekały się realizacji. Oszczędziłoby to dziś wielu zmartwień.

Mniej-więcej w tym samym czasie podobny spór, na podobnym tle, rozgorzał w Rosji. Żył tu 20 milionów chłopów pańszczyźnianych. Przez pokolenia trwali pod rządami, a raczej pod batogiem, swoich panów. Chłostano ich, gdy nie przykładali się do uprawiania roli; chłostano za brak porządku w chacie; chłostano za niestarannie utkane odzienie; chłostano za to, że ich córki ociągały się z zamążpójściem, a synowie z ożenkiem. Chłostano ich za każde uchybienie. Mówiono, że brak im rozumu, że poddaństwo mają we krwi.

Na to zjawili się utopiści i postawili stanowcze żądanie: pełnej wolności dla chłopów pańszczyźnianych i zniesienia wszelkiego przymusu pracy na rzecz feudalnych panów. Więcej nawet: zażądali, by władza sądowa panów nad chłopami została natychmiast zniesiona, a wszelkie jej kompetencje przekazane trybunałom ludowym, które chłopci wybiorą spośród siebie i które będą sędzić nie według nieznanego sobie prawa, ale według własnego niepisanego obyczaju. Taki był niepraktyczny pomysł niepraktycznego obozu. Praktyczni uznali go za czyste szaleństwo.

Szczęśliwie, wśród rosyjskich chłopów znalazło się wystarczająco wielu niepraktycznych, którzy, zbuntowani, ruszyli z kijami przeciw kulom. Żadna masakra nie zdołała zmusić ich do uległości. Niepraktyczni obstawali przy swoim tak długo, aż nakłonili cara, by choćby w części wypełnił ich żądania. Najbardziej praktyczni ludzie czym prędzej czmychnęli z Rosji, by nie poderżnięto im gardeł, gdy tylko car wyda obwieszczenie.

Ale sprawy potoczyły się dość gładko, mimo wielu błędów, jakie do dziś popełniają ludzie praktyczni. Ci sami niewolnicy, których miano za bezrozumne, zachłanne bestie (i tak dalej), wykazali się taką mądrością i tak potrafili się zorganizować, że przeszli oczekiwania nawet wielu niepraktycznych utopistów – a w trzy lata po ich wyzwoleniu oblicze rosyjskiej wsi zmieniło się nie do poznania. Oto niewolnicy przedzierzgnęli się w ludzi!

Utopiści wygrali tę bitwę. Dowiedli, że to oni są „praktyczni”, a ich oponenti to półgłówki. A każdy, kto zna rosyjskich chłopów, może jedynie żałować, że poczyniono zbyt wiele ustępstw na rzecz tych półgłówków, tych ograniczonych pyszałków: że nie posłuchano rad lewego skrzydła obozu „niepraktycznych” i nie zrealizowano ich postulatów w pełni.

Nie mamy dziś innych przykładów. Ale zapraszamy tych, którzy lubią myśleć samodzielnie, by przyjrzeni się historii każdej wielkiej społecznej zmiany – od powstania średnio-wiecznych miejskich komun po reformę uwłaszczeniową w Rosji i po dzień dzisiejszy. Przekonają się, że historia ludzkości to historia walki między władcami a poddanymi, między ciemieżcami a ciemieżonymi. Zobaczą, że w tej walce obóz praktycznych niezmiennie opowiada się po stronie władców i po stronie ciemieżycieli, a obóz niepraktycznych zawsze bierze stronę uciśnionych. Zobaczą, że ta walka za każdym razem kończy się porażką obozu praktycznych; porażką okupioną ogromem cierpień i morzem rozlanej krwi – oto do czego prowadzi ich rzekomy „zdrowy rozsądek”.

Nasi oponenti nazywają nas niepraktycznymi. Jeśli rozumieją przez to, że przewidujemy bieg wydarzeń o wiele trafniej niż praktyczni, krótkowzroczni tchórze, to mają rację. Ale jeśli chodzi im o to, że to oni, praktyczni, są bardziej od nas przewidujący, wówczas odsyłamy ich do historii i nalegamy, by dobrze zapoznali się z jej naukami, zanim sformułują tak zuchwałe twierdzenie.

Anarcho-Biblioteka  
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Piotr Kropotkin  
Do czego się nadajemy?  
1888

<https://blog.tranglos.com/kropotkin-do-czego-sie-nadajemy/>

Tłumaczenie: Marek Jedliński

**[pl.anarchistlibraries.net](http://pl.anarchistlibraries.net)**